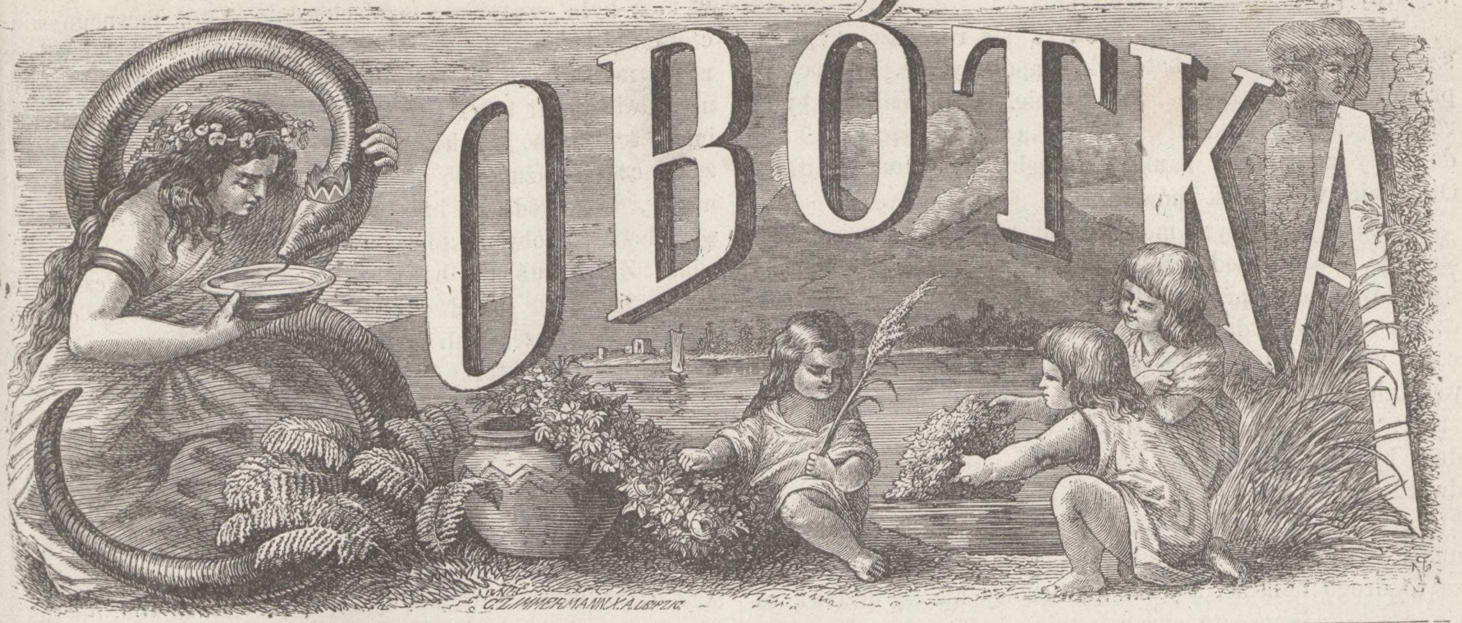
Nr. 44. Poznań, dnia 28. Października 1871. Rok III.



TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1½ ark. Kwartalnie 15 sgr.; w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

HISTORYA
NAUCZYCIELA SZKÓŁKI WIEJSKIÉJ

przez

Erckmann-Chatrian.

(Tłomaczenie z francuzkiego.)

(Ciąg dalszy.)

IV.

W kilka dni po téj rozmowie, 5 Listopada 1817 r. otworzyliśmy szkołę. Zdaje mi się jakby to wczoraj było; po kolacyi o godzinie pół do ósméj schodzę na dół, dla odświeżenia powietrza otwieram okna, wrzucam kilka kawałków drzewa do pieca i ogień bucha, rzucając na podłogę czerwone światło. Na zewnątrz mróz silny, tysiące gwiazd świeci w górze, a śnieg przyciśnięty nogą skrzypi przeraźliwie. Wszystko to, jakbym dziś patrzał, mam przed oczyma. Zdala, z końca wsi dochodzą krzyki i śmiech dziewcząt i chłopców, przybywających gromadnie. Zamykam okna i staję we drzwiach. Głosy się zbliżają, dwie lub trzy latarnie, pomimo błyszczącego śniegu i nieba, migają się między stodołami, chałupami i stogami. W tymże czasie ciężkie kroki p. Wilhelma schodzącego po schodach dają się słyszeć; za chwilę ukazuje się we drzwiach ubrany jak zwykle, w szlafmycy i z trzcinką w ręku.

„He! Janie Baptyście, zbiegają się, będziemy mieli szkołę pełną. Z góry spodziewałem się tego.“

Następnie wchodzi do sali i zamyka drzwi za sobą. Ale oto gromada dziewcząt krzycząc i śmiejąc się zbliża ku nam.

„My siądziemy na tych ławkach, na których malcy siadają. A! dobry wieczór p. Janie Baptyście, czy to pan?“

„Tak.“

„Czy ciepło przynajmniéj w szkole?“

„O! ciepło, proszę wejść.“

Była to panna Małgorzata Abba, córka młynarza, wysoka blondynka; panny Joanna i Ludwika Arnette, dwie brunetki blade, z dużemi nosami i ostremi brodami, daléj córka naszego mera, panna Rozalia Bauquel, którą we wsi nazywano „piękna Zali.“ Miała ona świeże policzki, duże niebieskie oczy i wspaniałe krucze włosy.

„Czy panu zimno, panie Janie Baptyście?“ spytała, przechodząc i gasząc latarnią.

„Nie, panno Zali.“

„Ach! jaki pan szczęśliwy!“

W téj chwili nowa banda weszła do sali i cisnęła się w koło pieca. Byli to chłopy z brodami pracujący u kowali, rolników, rzeźników, piekarzy, oberzystów i t. d., i wszyscy mijając mnie mówili: „Dobry wieczór panie Janie Baptyście.“ Każdy z nich przynajmniéj lat pięć był starszy odemnie, co widocznie ich wszystkich w kłopot wstydliwy wprowadzało. W każdym razie potrzeba mieć wiele rozsądku, ażeby w tym wieku jak oni uznać swoją ciemnotę i chcieć się z niéj wydobyć; to dowodzi rozumu i siły woli zarazem. Iluż głupców sądzi się być orłami i iluż ograni-

czonych chce lekcye mądrzejszym udzielać. Ci ostatni są wzgardy godni, tamci poszanowania.

Na koniec o godzinie 8 lekcya się rozpoczęła; pierwsze ławki naprzeciw katederki zapełniły się, chłopcy po prawéj, dziewczęta po lewéj stronie. Pan Wilhelm przed rozpoczęciem powiedział słów kilka zachęcających, które dowiodły znajomości nauki, potrzebnéj ludziom wiejskim. Oto mniéj więcéj tak mówił:

„Wielu z dawnych moich uczni przychodzi teraz uczyć się tego, czego przed dziesięcioma laty nauczyć się powinni byli. W tenczas nie chcieli mnie słuchać, a dziś doświadczenie rozum im dało. Spodziewam się więc, że czas stracony wynadgrodzony będzie. Do nauki potrzeba przedewszystkiem dobréj chęci. Kiedy się ma chęć, to się wszystko zrobi; trochę późniéj lub trochę wcześniéj, to wszystko jedno, byle się tylko miało wytrwałość. Będziemy się uczyć dwóch rzeczy: pierwsze, czytać i pisać bez błędu. Wszyscy którzy niechcą innym swoich interesów powierzać, muszą umieć czytać i pisać. Oddając swoje interesa innym, trzeba za to drogo opłacać, a jeżeli powiernicy nie są uczciwi, co się często zdarza, to okradają nieświadomych. Potrzeba więc umieć przeczytać list, a mianowicie list w interesie, jeżeli się pod nim podpis swój daje. Druga, jest umieć rachować i sprawdzić własne rachunki. Ci którzy po to do innych udawać się muszą, narażają się na drogie opłaty, a często i na ruinę. Nie tylko potrzeba książki rachunkowe w porządku utrzymać, ale koniecznem jest jeszcze umieć zdać samemu sobie rachunek codzienny z tego, co się zrobiło, z korzyści i strat, ażeby wiedzieć, czy w ten lub w inny sposób interes nadal prowadzić należy lub też go przerwać. Dla tego będziemy się uczyli liczb dziesiętnych i ułamków. Ale potrzeba żebyście byli uważni i porządek zachowywali. Zobaczymy teraz, czy wszyscy pójdziecie do jednéj klasy, czy trzeba będzie podzielić was na dwie. Janie Baptyście, podyktuj kilka wierszy, będziemy widzieli co który umie."

Dyktando zajęło z dwadzieścia minut; grube ręce przyzwyczajone do młota, pługa i siekiery, niełatwo utrzyma pióro w ręku. Po skończeniu dyktanda, przejrzeliśmy zeszyta. Większa część uczni, pomimo ciężkiéj ręki, wcale nie źle formowała litery; grzeszyli tylko przeciw ortografii; co do dziewczyn, wszystkie były w jednym stopniu, t. j. nie umiały nic.

To nieuctwo zdziwiło mnie, témbardziéj, że wszystkim niebrakowało sprytu, a kiedy mówiły, zdawało się iż są więcéj wykształcone niż mężczyzni. Niestety! niestety! teraz wiem w czym to powód leży. Pierwsza ich nauka powierzona była zakonnicom, które jako z powołania do czego innego poświęcone, nie wiele się o nią troszczyły.

Tak więc piękne te dziewczęta a nawet i chłopcy nic nie umieli, co widząc postanowiliśmy rozpocząć od pierwszych zasad gramatyki, t. j. od części mowy, deklinacyi, koniugacyi, tak jak się zwykle robi. Pierwsze klasy powtarzały i deklimowały, ale to jakoś nie szło. Ci ludzie zajęci pracą przez dzień cały, nie mieli czasu przygotować się do lekcyi, a wszystkie określenia rzeczowników, przymiotników, słowa i t. d., do niczego nie prowadziły. Uwagi i dobréj woli uczniów nie brakło, a jednakże widocznem w nich było zwątpienie i zniechęcenie. Otóż pewnego wieczora myśląc o tém, zrobiłem uwagę panu Wilhelmowi, że nasza metoda jest za powolna i czy nie lepiéj byłoby, ażeby uczniowie pisali t e n, t a, t o, nie wiedząc, iż to jest zaimek, k o c h a m, k o c h a ł e m, b ę d ę k o c h a ł, nie wiedząc, że to czas teraźniejszy, przeszły i przyszły. Nie zwykłe te nazwy, tego rodzaju ludziom nic nie tłomaczą. Daleko więc lepiéj byłoby dyktować i zaraz wprost iść do celu mówiąc: Z r o b i ł e ś t u b ł ą d z t e g o p o w o d u. Uczniowie mając przykład przed oczyma, zaraz pojmą o co chodzi i nie będą potrzebowali męczyć się nad gramatyką, ciemną nawet dla tych, którzy ortograficznie piszą.

Pan Wilhelm nie odpowiadając, słuchał uważnie, a ja mówiłem daléj:

„Przypuśćmy, że chcę kogo zapoznać z miastem N a n c y. Czyż na to mam mu dać listę z objaśnieniami o położeniu ulic, gmachów, domów i kazać się na pamięć takowych wyuczyć? Czyż nie lepiéj będzie zaprowadzić go do tego miasta? Czyż w ten sposób prędzéj i łatwiéj się on nie nauczy?"

„Bezwątpienia, masz słuszność", rzekł p. Wilhelm, „ale cóż się w tenczas stanie z gramatyką i tyloma innemi podręcznikami? Nauka będzie nazbyt łatwa."

P. Wilhelm zdawał się gniewać za ten atak na starą rutynę, ale ponieważ uczniowie się zniechęcali, pozwolił na mój sposób uczyć dorosłych i zarazem oświadczył, że co do malców stary sposób nadal pozostać musi, gdyż byłoby to nietylko przeciwne regulaminowi zwierzchności, ale nawet dzieci mogłyby w krótkim czasie wyrównać nauczycielowi, coby powagę jego zachwiało. Nic więcéj nie żądałem i zaraz moją metodę u starszych zaprowadziłem.

Rozpoczęło się więc dyktowanie. Cały ciężar pracy spadał na mnie; musiałem ciągle mówić, wskazywać na błędy i ich przyczyny. Nie uczniowie, ale ja recytowałem gramatykę, a oni tylko słuchali i bez trudu się uczyli; wszystko szło dobrze i postęp był wielki.

Wkrótce zdolniejszym kazałem poprawiać innych. Pomiędzy temi pierwszemi była pana Rozalia Bauquel, któréj objęcie i pamięć w zachwyt mnie wprowadzały. Ach! nie posądzcie tylko o co innego! Nieprzeczę, że młoda i piękna dziewczyna z czarnemi włosami, ze spojrzeniem żywem i łagodnemi, nie jest nie miłą dla ośmnastoletniego chłopca, przeciwnie, jeżeli do tych przymiotów doda się uwagę i uśmiech z jakim każdy mój wyraz chwytała, to wszystko młodemu nauczycielowi schlebiało i prawdziwe zadowolnienie sprawiało. Jest to proste i naturalne, ale od miłości myśl była daleko! W pannie Rozalii, mówię otwarcie, zachwycały mnie tylko dowcipne odpowiedzi i pamięć. Pyszniłem się jak każdy młody nauczyciel, kiedy widzi postęp. Oto moje dzieło! mówiłem zwykle w duchu.

Pomimo plotek które z tego powodu krążyły, pomimo przykrości jaką mi wyrządzono, pomimo niesprawiedliwości i prześladowania, uczucia moje były czyste i dla tego bez wyrzutu mogę to wszystko opowiedzieć.

W ciągu dwóch miesięcy, opinia o naszéj szkole wieczornéj rozeszła się po okolicy i tłumy nowych uczni co-

dzień przybywały; sala była przepełniona. Przypominam nawet, że wielu ojców familii regularnie uczęszczało na lekcye.

Podczas lekcyi chodziłem od jednego do drugiego, tłomacząc i poprawiając, a jeżeli który nie umiał odpowiedzieć zadawalniająco wołołem:

„Panno Zali, proszę wytłomaczyć Piotrowi, Pawłowi lub Jakóbowi", następnie chwaliłem ją za dobrą odpowiedź. Pannie Rozalii jak wszystkim młodym dziewczętom niebrakło próżności; pochwały schlebiały jéj tak, że aż się oczy z zadowolnienia świeciły. Na te lekcye przychodziła czasami Siostra Miłosierdzia Adela, a widząc postęp, chwaliła mówiąc: „Ach! panie Janie Baptyście, jaka dobra metoda! jak się prędko uczą! Dobra noc, dobra noc. Ach! jaki z ciebie dobry nauczyciel. Co my biedne Siostry nauczyć możemy przy takim nauczycielu. Miejsce twoje w wielkiem mieście, a nie tutaj.

Od tego czasu często wspominałem owe chwile i pytałem siebie: „Renaud, czy kochałeś piękną Rozalię? czy kochałeś miłością prawdziwą? Jeżeli chęć widzenia ją szczęśliwą, jeżeli poszanowanie zdatności i uwielbienie przymiotów nazywają miłością, w takim razie kochałem ją nie wiedząc o tém. Ale jakże ja, nauczyciel zarabiając zaledwie na odzienie i buty, śmiałbym oczy podnieść, na najbogatszą dziewczynę w wiosce? Ażeby jedyna córka p. Bauquel, właściciela wielu młynów, człowieka dumnego, jak wszyscy chłopi ze swego majątku, mającego konie i piękną uprząż, spławiającego Saarą drzewo aż do Saarbrück w Prusach, ażeby córka mówię jego była moją, to mi w głowie pomieścić się nie mogło.

Prawda, że p. Bauquel był bardzo uprzejmy i poufały ze swymi podwładnymi. Kilka razy nawet ukłonił mi się, ścisnął za rękę, chwalił postęp córki i uważał założenie szkoły wieczornéj dla dorosłych, za myśl bardzo szczęśliwą. Człowiek ten dorobiwszy się majątku własną pracą, oszczędnością i sprytem, pojmował dobrodziejstwa nauki; ale od ściśnięcia ręki do oddania córki, bardzo daleko i nigdy pretensya podobna nie stanęła mi w myśli. I tak mówię całą prawdę, miałem dla panny Rozalii wiele uczucia, ale nie byłem do tego stopnia waryatem, ażeby o rękę jéj się dobijać. Jednakże ztąd to na nieszczęście, powstały wszystkie przykrości i upokorzenia, i ztąd w późniejszym wieku wyrodził się wstręt do ciemnoty i chęć pomagania tym, którzy pragną wznieść się przez naukę.

(C. d. n.)

Pogadanki o przemyśle i przyrodzie.

Przebicie Alp.

(Z ryciną.)

II.

W niedzielę dnia 17 Września, pomimo że linia łącząca Saint-Michel z Modane, niebyła ukończona, miała miejsce uroczystość poświęcenia i otwarcia tunelu. Minister włoski z inżynierami i gośćmi wyjechał z Turynu o godzinie 6 z rana. O godz. 9 i minut 40 urzędowy pociąg wszedł do wnętrza tunelu, a w 25 minut późniéj ukazał się na drugim końcu suteren i dla zabrania gości zaproszonych zatrzymał się na terytoryum francuskiem. Na stacyi oczekiwali już minister francuski handlu i rólnictwa Wiktor Lefranc, władze departamentalne, inżynierzy francuzcy i wielka liczba reprezentantów dziennikarstwa i przemysłu.

O godzinie 12 z południa pociąg ruszył i wszedł pod sklepienia jak do zwykłych tuneli. Szypko przebieżono galeryę pierwszą długości 453 metrów. Ciemno się robi; dym i para pozostająca za pociągiem, zakrywa oczom światło otworu.

Wysunąwszy rękę przez okno, czuje się ciąg powietrza zimnego, ciąg wywołany pędem wagonów; ręka w kilka chwil, z przyczyny dymu duszącego się pod sklepieniem czernieje. Przez trzy pierwsze kilometry, powietrze w galeryi jest dosyć świeże. Po przebyciu téj przestrzeni, różnica temperatury staje się coraz większą i wyraźnie czuć się daje wrażenie ciepła. Para wkrada się niekiedy do wagonów; okna zamykają. Temperatura bezustannie się podnosi. Nagromadzone ciepłe gazy, wstrzymują parę, tak, że temperatura dochodzi maximum do 25°. Odległości kilometrowe, są oznaczone jasnemi lampami i pomimo że para się czepia sklepienia, łatwo można rozróżnić numera. Mury ścian pokrywają się pokładem pary, tak iż się zdaje jakoby pociąg szedł pod matowo przezroczystym sklepieniem. W każdym razie między ścianami wagonów i ścianami pary, pozostaje wolny rodzaj kurytarzy, którymi powietrze cyrkuluje, tak że wychyliwszy głowę po za okno, uczuwa się tylko zwykła niedogodność pyłu rzucającego się w oczy. Pomimo ciężkiéj i ciepłéj atmosfery, łatwo się oddycha. W prawdzie oddech podróżnych i lampy psują powietrze, niemniéj jednak łatwiejszy on jest niż w salach przy zebraniach publicznych lub koncertach. Pamiętać należy, że każdy wagon bierze z sobą pewien zapas powietrza, tak że nawet zamykając portyery wystarczyć ono może na przeciąg 40 minut jazdy.

Dodać tu wypada, że pociąg inoguracyjny, poprzedzało kilka dla próby pociągów, które część pary pozostawiły za sobą, ale pomimo tego wystarczało głowę przez okno wychylić, ażeby się przekonać, iż się ona uczuć nie dawała.

Po przebyciu punktu kulminacyjnego, para mniéj się już ścian czepia; podróżny rozróżnia lampy stojące na oznaczenie kilometrów. Temperatura widocznie się obniża. Podróżny czuje iż pociąg minął punkt kulminacyjny i zbliża się do otworu.

Wkrótce rzeczywiście spostrzegać się daje, jakby odbicie światła dziennego. Pociąg wciąż zostawia parę za so-

bą, mając przed sobą sklepienie wolne; jasność dzienna rzuca trochę światła na parę lokomotywy, która go odbija na parze u ścian przyczepionéj i tunel rozjaśnia się nieco jak ziemia, przy wschodzie słońca. Galerya kamienna ma także swoją zorzę. Dopiero po przebyciu 9 kilometrów wpływ ten światła uczuć się daje.

Od chwili wyjazdu główna uwaga podróżnych zwrócona była na wentylacyę. Tylu i tyle razy zarzucalo, że wentylacya jest niemożliwą, bo dym zaraża powietrze. Twierdzono że na 1,500 metrów głębokości, człowiek się pod ziemią udusić musi! Dziś wątpliwość i obawa są rozwiane. W pociągu oficyalnym wszyscy palili spokojnie cygara i pomimo że do gazu z lamp do mięszał się dym cygarowy, oddychanie było swobodne.

Tylko pessymiści i hypokondrycy chcą koniecznie żeby atmosfera tunelowa była nieoddychalna i pomimo, że fakt przeciw nim mówi, szukają jednak najrozmaitszych przyczyn na zdyskredytowanie podziemnego powietrza.

Z początku wszyscy się obawiali zapominając, że nie chodzi tu o tunel zwykły, jakich wiele na wszystkich kolejach spotykamy.

Tunel Alpejski tworzy szeroki i długi komin podnoszący się od strony Francyi ku Włochom, w którym odbywa się naturalny ciąg powietrza. Gazy i para wchodzą do komina, a każdy pociąg przechodzący jest jakby stemplem wypychającym parę i odnawiającym powietrze. Stały przeciąg powietrza jest od strony Francyi ku Włochom i tylko okoliczności niezwykłe zmieniają go; ale i w naszych kominach pokojowych zdarza się czasem latem, że dym ciągnie z góry na dół, ponieważ powietrze gorętsze jest na zewnątrz niż w pokoju. Tak i tunel, kiedy temperatura wyższa jest na spadku Francyi niż Włoch', ma przeciąg od Włoch ku Francyi. W takim razie dym i para w miejscu wyjścia otworem włoskiéj galery, wychodzi francuską.

Łatwo pojąć, że podróżni stósownie do pędu wagonów i naturalnego ciągu, są mniéj lub więcéj otoczeni parą.

Jedyna niedogodność któréj doświadczają nie podróżni zamknięci w wagonach, ale inspektorzy drogi, jest wtenczas kiedy wskutek zmiany ciągu, powietrze zostaje chwilowo w spoczynku. Stan ten trwa przynajmniéj godzinę.

Po przejściu pociągu widzi się dym wychodzący przez otwór tunelu. Z daleka zdaje się, że góra jest w ogniu, a drzewa w pobliżu będące kryją się po za chmurami pary. Lokomotywa zostawiając za sobą dym i parę, napełnia niemi cały tunel od wejścia aż do wyjścia, które do zniknięcia potrzebują tyle czasu, ile go przeciąg powietrza potrzebuje.

Przeciąg naturalny powietrza wystarcza na oczyszczenie tunelu, a jeżeli przy zmianie ciągu staje się nazbyt ciężkie i przez to utrudnia w nim służbę drożną, to przez przyrząd ciągnący się wzdłuż galeryi stróż wezwać może o pomoc.

Pociąg urzędowy przebył górę w ciągu 42 minut. W chwili zatrzymania się w Bardonnèche, na uczczenie uroczystości salwy i muzyka zagrzmiały. Pagórki otaczające zajęły masy ludności ciekawéj. Wiwaty napełniały powietrze, francuzkie i włoskie chorągwie, pod powiewem wiatru zwijały się razem; a na to wszystko wspaniałe góry poważnie się spoglądały. Widok był zachwycający!

Na kilka set metrów od wejścia do tunelu, odłamki skał wysadzonych prochem i od lat trzynastu nagromadzonych na zewnątrz suteren, utworzyły ogromną płaszczyznę mającą 25 metrów wysokości; na tem to wyniesieniu sztuczném postanowiono urządzić namiot na ucztę: po tak świetném zwycięstwie inżynierzy włoscy i francuscy, mieli prawo rzucić pod nogi gościom olbrzyma zwalczonego. Namiot 200 metrów długości ubrany w stylu prostym ale gustownym, mieścił 1200 współbiesiadników. Tam to wygłoszono mowy, które miały rozwiać chmury powstałe w ostatnich czasach między polityką włoską a francuzką. W téj to chwili dano pracy i nauce władzę monarszą zbliżenia do siebie narodów i zapewnienia pokoju.

Oby ten tunel stał się rzeczywistą drogą do zjednoczenia narodów Europy; a jeżeli kiedy gniew i nienawiść rzuci je do walki, niech on przypomina że się laury nie w krwi ludzkiéj zdobywają. Tylko zwycięztwa intelektualne powinny zazdrość i rywalizacyę wzbudzać; tylko takie zwycięztwa uszlachetniają i podnoszą narody.

CZTERY POLSKIE PORY ROKU.

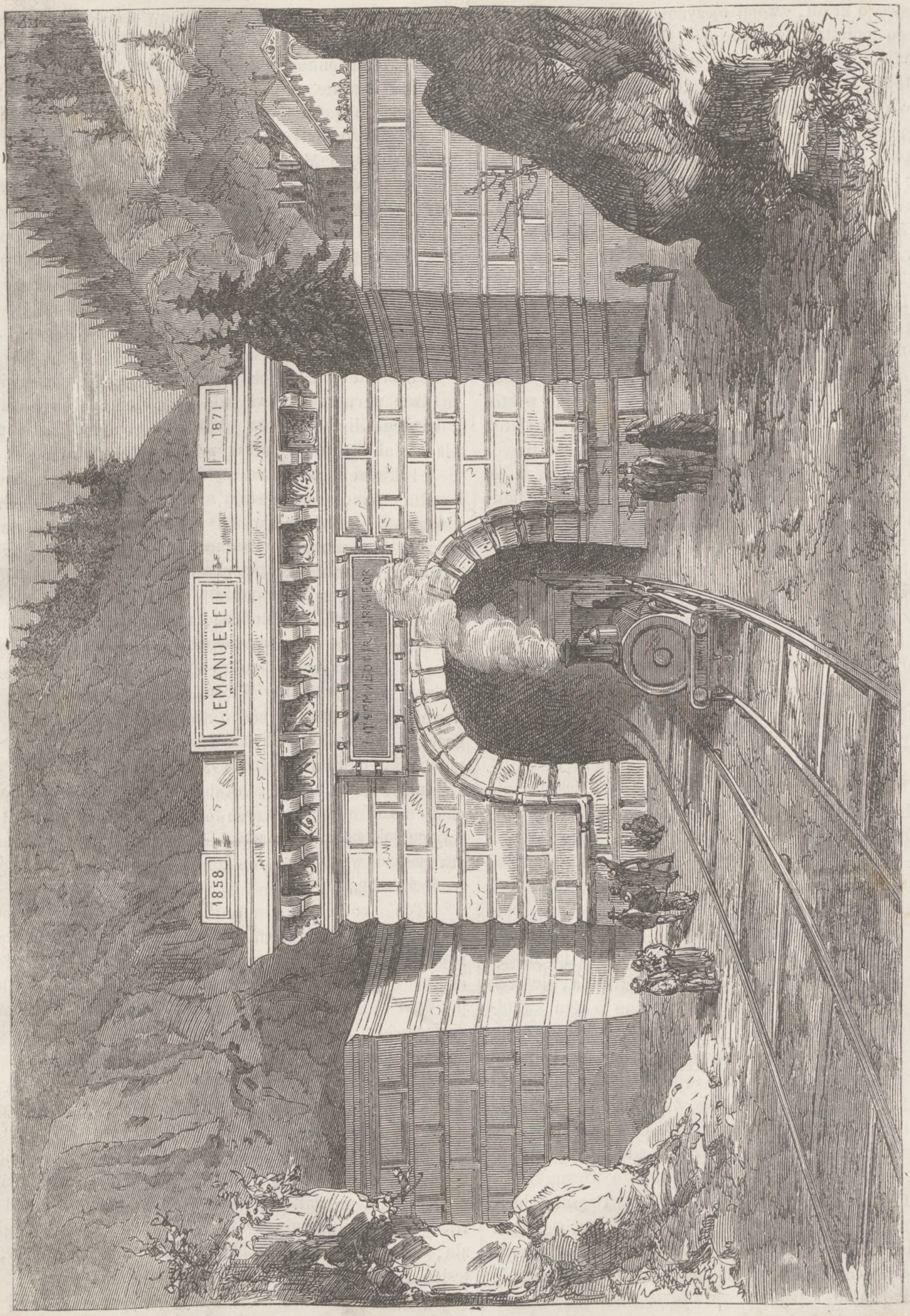
WSTĘP.

Taniec godzin 1871 roku prawie się skończył. Szalonym wirem toczyły się one koło nas, zaznaczając na każdem stworzeniu godzinę, miesiąc lub rok ubiegły. Nie jedna z tych godzin przyniosła nam smutek, sto innych nagradzając sowicie krzywdy przez siostry wyrządzone, radością obdarzały.

Jak w tańcu tak i w czasie jest wieczna zmiana pozycyi i figur. I tu każda nowa godzina, jak hoża i piękna tancerka stara się nową, świeżą figurą wabić widza, zdobyć serce jego, zyskać uznanie i hołdy. Jedne ubierają się w śnieżną biel, drugie w zieleń obsianą różami, inne stroją pierś różnobarwnym bukietem lub wieńczą głowy soczystym owocem. Ileż to uroku w każdéj zmianie, ileż powabu. Każda bez wyjątku jest zdolną natchnąć poetę do śpiewu, mistrza do ożywienia pędzlem płótna, lub do nieśmiertelnéj kompozycyi.

Jednak zmiana czasu, ów taniec godzin prócz powabnéj strony jeszcze ma inną; jest on nader pouczający, mianowicie dla nas, mieszkańców umiarkowanéj strefy. W téj wiecznéj zmianie, która stanowi pory roku, przedstawia nam się piękny i pouczający obraz fundamentalnéj zasady wszelkiego bytu, tak cielesnego jak i duchowego, zasady krążenia materyi.

Wszak to człowiek jest produktem tego, co go otacza.



Wjazd do tunelu Alpejskiego
od strony Włoch.

zawisłym od klimatu strefy w któréj żyje. I dla tego to, gdziekolwiek się człowiek znajduje, zawsze tęskni do swojéj strony, do swego kraju, swojéj ojczyzny, swego klimatu, do tego z czego powstał, z czego się składa, a tęsknota ta dopiero ustaje, gdy i on w swym składzie się zmienił, z nowych cząstek, z produktów nowego położenia swego się zestawił. Wtenczas zniknie i miłość do rodzinnego miejsca, a głęboko przenika go przywiązanie do nowego.

A jednak człowiek, jeśli tylko zasłyszał o piękności i o cudach innych krajów, do nich tęskni, do nich się wydziera! Tak, to jest chęć wiedzy, chęć poznania nowych i nieznanych światów, chęć wzbogacenia swego ducha.

Na skrzydłach pary lecimy do Szwajcaryi, do Włoch, do Hiszpanii, nie żeby tam żyć, lecz żeby jak ów biblijny niewierny Tomasz dotknąć ręką nieznanych cudów natury i geniuszu ludzkiego; ażeby mieć to na jawie, o czém jakby o raju się marzyło.

Stanąłeś u celu, widzisz to czegoś pragnął, a jednak tęskno ci za słomianą strzechą twoją, za ogródkiem, w którym każda trawka, każdy listek, nieledwie każdy kwiatek mówi do cię językiem zrozumiałym i cudnym pędzlem przedstawia figurę, jaką w owym wirze czterech pór roku w téj chwili tworzy. A tam, daleko ku południowi, zmiany figur tańca rocznego, są nieznaczne, nie uderzające oczu tak silnie i wymownie jak u nas.

Uciekamy przed srogą zimą naszéj strefy, do Hiszpanii. Przybywamy tam pod koniec Lutego, a zieleniejące cytryny i pomarańcze okłamują nas, mówiąc — że to lato. Ale oto obok nich stoją nasze topole i akacye bez liści, a na złych drogach jeśli słońce nie dochodzi, kałuże są pokryte lodem. Ciemna zieloność drzew świętojańskiego chleba, i znamionujące południową florę krzaki Kaktusa figowego, oraz pięknie zwite liści Agawy, krewnéj ananasu, obok lodu! Któż z nas to zrozumie? Kto z nas może tu odgadnąć w jakiéj żyje porze roku? Lecz na tém jeszcze nie koniec. Idźmy daléj ku południowi, do puszczy Alikanty, lub do Murcyi. Nad drogą spostrzeżemy gołe krzaki, wyciągające swe rózgi ku niebu; są to krzaki granatów, jak nas objaśnia mayoral, woźnica. Smutno się robi; lecz konie unoszą, szybko się zbliżamy do sławnego lasu palmowego Elche, gdzie się na początku Kwietnia schronić możesz przed upałem w cieniu, jaki tylko palmy dać mogą.

Mimo to — zima tu chociaż bardzo złudna, jeszcze panuje. Drzewa i krzaki nie zawsze zielone o tém świadczą, bo pąkówki ich śpią snem głębokim.

Dopiero w okolicy wegi, tego prawdziwego ogrodu Hiszpanii, tego ziemskiego raju, spostrzeżesz w Kwietniu ślady wiosny, bo oto rozwijają się z pieluch młode listki srebrnéj topoli i soczyste w kształcie róży liście drzew figowych.

Jeśli podróżny przed godziną pytał zdumiony: czy to zima? teraz nie mniéj zdumiony pyta: czy to wiosna?

Nie ma tu wcale zmiany pór roku. Bogini Flora, która w naszéj strefie tak często w smutku i dolegliwościach świeżym kwiatkiem pociesza, tam w południowéj nie równie mniéj przynosi. U nas ciągła zmiana i ciągłe odmładzanie się, tam jednostajność piękna wprawdzie, ale monotonna, a wiadomo jak przywyknienie tępi uczucie i wrażliwość.

Tam Flora zawsze panuje. Wiecznie zielone rośliny, które nawet zimą nie są pozbawione kwiatów, pola barwią zielenią, choć to zieleń blada, niewłaściwa, zakrawająca na chorobliwą żółtość. Ale za to, kiedy u nas błonia latem są pokryte ciemno zielonym, aksamitnym kobiercem, tam go nigdy prawie nie widać, a ponieważ i owoce prawie ciągle dojrzewają, tam o zmianie pór roku mowy być nie może.

W Hiszpanii poeta nie ma tematu do opisania wiosny, tam o wonnym Maju śpiewać nie może, tam nie ma wyrazu dla bogactwa jesieni. Chcesz wiedzieć porę roku, to spojrzyj do kalendarza. Prawda że tam zima nie pokrywa białą szatą pól i borów, nie ustroi gałęzi świetnemi kryształami, w których promienie słońca się łamią, by nam pokazać cudny skład swoich kolorów; ale za to téż buchający na kominie płomień nie zgromadzi rodziny dla miłéj gawędki o przeszłości i przyszłości, ani nie jest świadkiem serdecznych zwierzeń dwojga kochanków.

Tam to w ciepłych strefach Hiszpanii właściwie tylko są dwie pory roku, dwie wiosny: jedna pełna życia, które z każdego listka tryska obfitem zdrojem; druga martwa, blada, jakby osłabiona tak zwaną żółci chorobą.

Takiemi tam także są i ludzie. Ogniści, energiczni i pełni życia, prędko stają się wątłymi, tracą ducha, siłę i wcześnie przemieniają się w starców, kiedy u nas, pod naszym klimatem, z wyraźną zmianą pór roku, przez całe prawie życie zachowują sprężystość, energię, rzutkość i wrażliwość duszy, a te przymioty są ogólne, właściwe wszystkim stanom, wszystkim klasom narodu, najwykwintniéj wychowanemu jak najsurowszemu człowiekowi.

Aż do dna serca, do głębi duszy naszéj sięga ten wpływ zmiany w przyrodzie. Wiosna, lato i jesień budzą w nas nowe obrazy, nowe myśli, które zimą przerabiamy na bogate płody, dzieląc się z ogółem tem, cośmy przez owe pory roku uzbierali. To nasza literatura, to nasza poezya i sztuki piękne, które skutkiem tego są nierównie bogatsze, choć może w pojedyńczych objawach mniéj ogniste, porywające jak płody ducha południowców, którego żadne przeciwieństwo w naturze nie zmusza do nadzwyczajnego rozwinięcia siły.

Ten krótki szkic nie ma jednak służyć za pochwałę tego, czego człowiek zmienić nie jest w stanie. Witam zarówno serdecznie zimę, która ku mnie lodowatą dłoń wyciąga, jak wiosnę uśmiechającą się wśród cudnéj zieloności, jak lato niosące woniejące kwiaty, jak wreszcie jesień obdarzającą owocem drzew i złotego kłosia. Głęboką prawdę zawiera powiastka, którą w młodości czytałem, o Kasperku, chwalącym każdą porę roku z kolei. Wszystkie są dobre, wszystkie przyjemne i miłe, wszystkie dla nas użyteczne i potrzebne nawet.

Wiadomą jest rzeczą, że astronomiczny podział pór roku nie zupełnie się zgadza z fizycznym, czyli naukowy z rzeczywistym, jak on się nam w przyrodzie przedstawia. Kiedy słońce wstępuje do znaku Barana, Raka, Wagi, Kozła, dla nas podług kalendarza zaczyna się wiosna, lato, jesień i zima.

Trudniéj jednak odgraniczyć te pory roku od siebie wedle objawów w żyjącéj naturze, a jednak następujące

uwagi będą tylko opierać się na tych objawach. Zwykle mówimy żeby oznaczyć fizycznie cztery pory roku, że przyroda się obudziła, zmartwychwstała, że jest pełna życia, lub że drzemać zaczyna i że umarła. Lecz gdzież tu właściwe granice? Którego dnia budzi się natura ze snu, z śmiertelnego letargu, a którego dnia obumiera w niéj wszystko? Trudno to oznaczyć dokładnie.

W Marcu bowiem, kiedy śnieg zaledwie zaczął znikać, już pokazuje się niebieskie oko przetacznika (Hepatica tribula), a nawet zimą pod śniegiem zieleni się w ogrodach sprowadzona do nas Erathis hiemalis. Często długo przed rozpoczynającą się wiosną otwierające się szyszeczki orzechów laskowych, obsypują śnieg w około nich leżący swym kwiatowym pyłem, nadając mu tym sposobem barwę siarki, a śniegunka (Galanthus nivalis) zaraz kiedy śnieg topnieć zaczyna przedstawia się naszemu wzrokowi.

I świat zwierząt nie mniéj odpoczywa. W Grudniu jeszcze igra motyl mrozowy (Geometra brumata), i zdaje się, że w tym miesiącu właściwie dopiero odżyje, a w Marcu już lata ociężały cytrynowiec (Colias Rhamni).

Widocznie, że kalendarz astronomiczny nie drukuje się ni dla roślin, ni dla zwierząt. Podług fantazyi swojéj pokazują się one i znikają, jak kapryśne dzieci, i nikt nie zna dnia i godziny, ani też przyczyny ich pojawienia się.

W tém właśnie leży przyczyna zmian zmiany, zależnych mianowicie od wyższego lub niższego położenia nad poziomem morza, tudzież od przypadkowych zboczeń pogody.

Wszakże mieszkaniec Tatr pnąc się coraz wyżéj ku szczytom gór, w jednym roku może się nacieszyć trzema wiosnami.

W przyrodzie jednak skoków z jednéj ostateczności do drugiéj nie ma; wszystko w niéj jest rozwojem, systematycznem połączeniem. Nie wiele potrzeba uwagi, żeby to spostrzedz, i nie wielkiéj nauki, żeby to zrozumieć. Chociaż odkrycie granicy między zimą i wiosną nie jest łatwe, jednakże najbardziéj ukrytą bywa granica między wiosną i latem a latem i jesienią. Zwykle uważa się za początek wiosny rozwinięcie pąkówek naszych drzew liściastych, mianowicie wierzby naszéj, dającéj swe blado zielone gałązki na obchód uroczystości palmowéj niedzieli. Ale czyż przed kotkami wierzby nie pojawił się cały legion niecierpliwych, drobnych kwiatków, gwałtem wyrywających się z więzienia, do którego były przykute lodowym łańcuchem zimy? Prawda, że między 25 Kwietnia a 10 Maja flora nadzwyczaj szybko u nas się rozwija, i niezmierna liczba zwierząt wstępuje do areny życia; lecz nie mniéj prawdą jest, że długo przed tym terminem tak flora jak fauna swych reprezentantów wysyła, które choć skromnie, to nie mniéj odważnie stają z zimą do walki.

Żeby jaśniéj można było rozejrzeć się w tym chaosie, probujmy między cterema zmianami dekoracyi natury postawić jakiekolwiek słupy graniczne. Są pewne kwiaty i pewne zwierzątka, które mniéj więcéj służyć nam mogą za takie graniczne słupy. Rośliny, są, w czteroaktowym dramacie „Rok“ napisanym przez przyrodę, jakby dekoracyą sceny, na któréj zwierzęta większe i mniejsze swą rolę odgrywają.

Łąki i pola jeszcze przedstawiają widok smętny, przez las oko daleko sięga, bo gałązki nie otoczyły się jeszcze zielonym wualem, kiedy już na gruncie leśnym, ze swego humusowego pokrycia powstałego z suchych liści, występuje awangarda roślinna. Woda w ruczaju zaledwie uwolniła się od kryształowego sklepienia, a już tam, gdzie się nieco zatrzymując nie wielkie błoto tworzy, pośród którego kilka suchych kępek sterczy, a już na nich ukazuje się w złotym blasku Śledziennica (Chrysosplenium alternifolium); na suchych zaś miejscach w lesie jednocześnie z nią występuje szorstkolistna Miodunka (Pulmonaria officinalis) ze swemi z początku różowemi, rurkowatemi kwiatkami, które potém w piękną niebieską barwę się stroją. I lilie wysyłają swego galonowanego furyera, zwanego Złociem (Gagea lutea). Rozleglejsze przestrzenie zajmuje Sasanka (Anemona mnemorosa), która z początku jak niezdecydowana kokietka zdaje się nie wiedzieć w jakie kolory się ubarwić, wonny Fiołek (Viola odorata), a z pomiędzy drzew nasz polski Brzost (Ulmus) i Dereń (Cornus mascula).

Lato zagaja strojna miłości szatą, królowa naszych kwiatów, dziecko raju Szyrasu, Róża, w którą równocześnie dziewice pałaców dumnych i chatek piersi swe i sploty zdobią. Nie chcąc psuć kalendarza astronomicznego, poprzestać trzeba na tym jednym widoczniejszym znaku, a z mniéj uderzających wskazać tylko na letni pęd dębu i buku. Pod koniec Czerwca i na początku Lipca w ogóle nasze drzewa liściaste robią wysilenie do przyrostu tak silne, jakby dla nich wiosna drugi raz przyszła. Liście koloru sałaty, pędy wątłe, zwieszone z wiosny, na początku lata inaczéj się przedstawiają. Pierwsze zdobywają się na kolor ciemno zielony, prawie bury, drugie dumnie się podnoszą i wskazują nam drogę ku słońcu. Odtąd jednak, pozornie wprawdzie tylko, rozwój ustaje, ani jednego listka drzewom, prócz wierzbie, nie przybywa; roślina w części dopięła celu.

Kiedy się jednak zaczyna jesień? Czy kolor liści będzie jéj znamienem, czy też odpadanie ich? Peryod ten byłby zbyt długi, mianowicie gdy nie jeden, a liczne gatunki drzew uwzględnimy. Zdaje się, że granica leży w środku. Życie walczy ze zbliżającą się śmiercią, a raczéj działalność życia ze spoczynkiem. Dopiero późno, w połowie Listopada jedna roślina po drugiéj udaje się na ten spoczynek, a kiedy już wszystko w naszych ogrodach śpi snem śmierci, Astry, dzieci północnéj Ameryki, jeszcze dają oznaki pełnego życia, a z niemi współubiega się na łące bladoróżowy kwiatek Zimowitu (Colchicum autumnale).

Chociaż olsza o cztery tygodnie późniéj liście swe zrzuca niżeli klon, to jednak za najpewniejszy znak jesieni musimy przyjąć zrzucenie liści drzew, bo w tym czasie także znikają kwiatki leśne, których śmierć wprawdzie nie tyle rzuca się w oczy, ile śmierć drzew, ale nie mniéj przypada w tym peryodzie.

Granica zimy — to śmierć rośliny, to nagie, obdarte z liścia drzewo, to biały całun rozpostarty po ziemi, to kryształowe mosty wód naszych. Lecz dzień i godzinę jéj początku, któż by umiał oznaczyć? Czasami jakby wróg silny i jawny przybywa wśród białego dnia, czasami ukradkiem wśród nocy. Spotykamy się z nią zawsze jako z fait

accompli, jako z dokonanym czynem natury, przeciwko któremu żaden protest nie pomoże.

Nie łatwo jak widzimy wytknąć dokładne linie, dzielące cztery poru roku, a choć rok nazwałem dramatem, a pory jego aktami, między nimi nie ma antraktów i spuszczonéj kurtyny.

Czyż zimą zresztą wszystko jest martwe? Nie! natura nie umiera, w niéj nawet odpoczynku nie ma, bo go nie potrzebuje; jéj siły nie są wyczerpujące się. Nie tylko człowiek, zwierzę i roślina żyje, ale nawet kamień nie jest martwy. Jeśli spadająca z wysokości kropla wody zimą przeobraża się w cudny kryształ, to ona tylko to samo robi, co płyn wstępujący do rośliny, pokarm jaki przyjmują zwierzęta i człowiek. Pokrywający się zimą lodowym mostem staw, przechodzi pod inną formą, ten sam proces, co i wiosną, kiedy się pokrywa „zieloną pleśnią.“ Jeśli czarne żelazo czerwoną rdzą się oblecze, cóż ono innego robi od krwi w naszych żyłach, która łącząc się z powietrzem przez oddychanie, także żywo-czerwonego nabiera koloru? Tu i tam ruch materyi; różnica tylko w różnorodności przedmiotów i sił im właściwych. Nieskończony ruch stósunków materyi — to życie.

Od spadających kamieni, które siła attrakcyjna ziemi porywa, aż do myśli ludzkiéj, zawisłéj od pewnego poruszania mózgu, ciągnie się jeden nieprzerwany łańcuch zjawisk i w tym łańcuchu nie ma najmniejszego ogniwa, o którém byśmy mogli powiedzieć że jest martwem.

Dla tego też, mówiąc w następnem po szczególe o każdéj porze roku, niekiedy o pozornie martwe rzeczy potrącimy, ażeby pokazać, że wpływ téj rzeczy, téj materyi jest wielki, bo nią jest ziemia nasza.

TRZY MOGIŁY

przez

Władysława Bełzę.

(Dokończenie.)

III.

Pod Krakowem trzy kurhany,
Niby trzy przedmurza:
Patrzą na kraj ukochany,
Czy nie grozi burza?

Oj, zawyła burza wściekła,
Od wschodu, od wschodu...
I całunem przyoblekła,
Krwawą pierś narodu!

Oj! zawodzą w płacz serdeczny,
Nieszczęśliwe matki:
Do pościółki wiodąc wiecznéj,
Ukochane dziatki.

W niebo okrzyk zgrozy bije,
Żałośnie, grobowo:
Czyje ręce pomszczą, czyje,
Krzywdę narodową?

I posłyszał to z ukrycia,
Mąż z ducha i kości,
Co nie szczędził nigdy życia,
Za sprawę wolności.

Co za bisior miał siermięgę,
A burkę za łóżko,
Miłość ludu za potęgę:
A zwał się Kościuszko!

Od okrzyków, od radości,
Znowu drżą niebiosy:
Gromadzą się ludzie prości,
Wyostrzają kosy!

Oj, niech wróg się niepowyży,
Kusić o zwycięztwo...
Gdzie narodu duch na straży,
Tam siła i męztwo,

Choć niewola — niby ołów
Ciężka, na pierś łęże:
Wstają iskry z pod popiołów —
A z narodu męże!

Zbrojne w kosy i kłonice,
Poszły nasze chwaty,
Poszły, het, pod Racławice
Zdobywać armaty.

I zdobyli — i przywlekli,
Armat jedenaście:
„A wrogowie niby wściekli,
„Pierzchli przez przepaście!

„Hej! — gdy nam tak poszło z chwałą,
„Kościuszko zawoła:
„Trzeba przelać jedno dzieło,
„Na dzwon do kościoła!

„Niechaj jego głos spiżowy,
„Płynie co dnia z wieży:
„I o chwale narodowéj,
„Gada do młodzieży.“

Potém rzuci okiem czule,
Na Wawelu mury:
„Tam gdzie nasze leżą króle,
„Stanie moździerz wtóry!

„Gdy na naszą dolę krwawą,
„Padł ucisk téj ziemi:
„Narodową chociaż sławą,
„Podzielmy się z niemi!

„Trzecie działo niechaj stanie
„Na mojéj mogile...
„By ostatnie pożegnanie,
„Oddać mi za chwilę!“

Skąd te wodzu myśli czarne,
Skąd ten smutek — powiedz:
Czyś ty wieszczym przeczuł duchem,
Klęskę Maciejowic.

Niewiem z jakich przeznaczenie,
Wódz tam czytał znaków;
Czy w snach zoczył tę mogiłę,
Którą wzniósł mu Kraków.

Ale widzę, jak nad Polską,
Duch jego jaśnieje...
Trwogę budząc w piersiach katów,
W ofiarach — nadzieję!

Morownica, 24. X. 71.

Luźne kartki ze wspomnień powstańczych.

Walenty Parczewski.

(Patrz Nr. 38. Sobótki.)

(Ciąg dalszy.)

Z guidami (przewodnikami) naprzód wyprzedziliśmy kobiety, wyszukując dla nich i ułatwiając dogodniejsze przejścia; nieraz najdrobniejszy kamyczek zsuwający się w przepaść, nabawiał je nielada trwogą. Ale muły przywykłe do wycieczek podobnych, szły flegmatycznym, nieustraszonym krokiem, jakby pod kopytkami ich, najrozciąglejsza rościełała się równina.

Pod wieczór zadął wiatr zimny, muszcząc nagie już skał piersi, co kto mógł naciągał na siebie. Gdy utyskiwania kobiet doszły nas, zrzuciwszy pledy i płaszcze, zdążyliśmy ku niem, siedziały drżące, skarżąc się na zziębnięcie nóg, mimo ciepłych sukiennych kamaszy w jakie wszystkie zaopatrzone były, z wdzięcznością przyjęły ofiarowaną pomoc. O godzinie 7 tuman mgły zimnéj otoczył nas i drobny śnieg zaczął pruszyć; zabrane wino z Genewy, jakie guidy w koszu nieśli, rozgrzewało dużo.

Nareszcie, stopniowo i noc nad głowami zapadać zaczęła, a nogi coraz głębiéj w śniegu.

Guidy porozpalali pochodnie.

Dzikim lecz malowniczym był ten pochód! śród piętrzących się ścian skał i rozpadlin bezdennych... wyglądaliśmy na podobieństwo mar czyscowych z obrazu Dore'go. Stopniowo wiatr uspakajać się zaczął — niebo wyjaśniło — gwiazdy mrugały, rywalizując na błękicie o pierwsze z księżycem... i szliśmy przy srebrzystym ich blasku kilka godzin — gdy naraz, jeden z Anglików spostrzegł nieopodal sterczący z pod śniegu domek; rzuciliśmy się ku niemu, spragnieni chwilowego spoczynku — i zaczęliśmy kołatać do drzwi.

Cisza!... kołatanie się powtarza... lecz na nie tylko świst wiatru przez szczelinę się wydzierającego, odpowiada.

Guidy stali jak zaklęci.

„Ouvrez! qui vive!“ krzyknął jeden z nas.

„Vous pouvez crier jusqu'au jour du dernier jugement... et personne ne Vous ouvrira“... zagadał Guide ponuro, któremu pochodnia dawno już była zgasła.

Wtedy, powodowani dziwną żądzą ciekawości, podważyliśmy drzwi, i weszliśmy... Ciemność zupełna nas ogarnęła... stanęliśmy w progu jak powstrzymani siłą — a jeden z towarzyszy wydobywszy z kieszeni pudełko z zapałkami, wziąwszy jedną, zatarł spiesznie. Rozlane światło po izbie straszny przedstawiło widok... ze trzydzieści osób kobiet, mężczyzn i dzieci leżało zmarzłych przed nami! Rysy ich lodowych twarzy zachowały wyraz doznanych w chwili ostatniéj cierpień duszy i ciała... Najżywiéj jednak wyryła się w méj myśli kobieta, z rozdartą piersią i uwisłém u niéj dzięcięciem... Nieszczęśliwa matka, krwią własną chciała je ogrzewać jeszcze.

Towarzyszki nasze, wolniéj jadące, szczęściem zaoszczędziły się od tego strasznego widoku. Był to domek, a raczéj trupiarnia, w języku miejscowym nazwany „Morchon“, do składania śniegiem zasypanych podróżnych, a wygrzebanych przez znane psy góry Św. Bernarda, których opiekuńczy zakonnicy zachowują do czasu zgłoszenia się rodziny lub przyjaciół; domków tych jest dwa: „grand Morchon“ i „petit Morchon“ — myśmy zapukali do petit.

Była godzina spóźniona, gdy jeden z guidów idący przodem, a obeznany dokładnie z miejscowością, gwizdnął przeraźliwie — w kilkanaście minut, usłyszeliśmy najwyraźniéj chrup kruszącego się jakby pod ciężkiemi stopami śniegu — i stanął przed nami olbrzymi, brunatnéj maści pies — nie z koszyczkiem prawda, lecz z łaszącym się wyrazem, przyjacielsko wymachując ogonem.

„Messieurs! c'est mon ami Drapeau!“ wesoło zagadł przewodnik, głaszcząc psa, któren przywitawszy się z nim jak ze znajomym, kolejno obchodził nas i wąchał — a po odbytéj ceremonii zaznajomienia i z nami, poczciwe zwierzę, puszczając się przodem to znowu powracając i tropiąc coś po śniegu... wskazywał by iść za nim.

Jakoż rychło stanęliśmy u pożądanéj bramy. Dzwonek się odezwał — gościnne drzwi przedsionka prawdziwie zbliżonego nieba otwarły — i stanął przed nami biały wysłannik miłości bliźniego... i bezrachunkowego egoizmu... powitał przyjętym zwyczajem, zaprosił do refektarza, gdzie na wielkim, na ziemi leżącym kominie wspaniały dopalał się ogień.

Panie nasze, dla których najpożądańszym był wypoczynek, rozchmurzyły czoła — zziębłe ich towarzyszki, pokraśniały od blasku ognia — zaczęły się figlarnie prześladować brakiem wytrwałości — nam się zaś wydawało że jéj zbywało już wszystkim.

Podano herbatę z zakąską — a ponieważ było już późno — spełniwszy każdy po dwie szklanki za zdrowie przełożonego i pomyślność całego zgromadzenia i klasztoru, rozeszliśmy się wszyscy do przeznaczonych celek. O jak błogo sklejałem powieki! jakieś nuty rodzime kołysały mnie do snu... przesuwały się obrazy tak miłe, drogie, tak swoje!... miałem błogosławieństwo matki, uścisk siostry, powitanie brata... oddychałem wonią pól ojczystych!... wszystko mnie swoje otaczało... wszystko!... i ta nadzieja gorąca... któréj zimno nie zmroziło... Otworzyłem oczy... dzień biały zimowy, blady, jak nasze dni przed Bożem Narodzeniem, wlał się do pokoju i czekałem, pełen złudzenia miłego... pokąd w drzwiach moich nie stanie droga postać domowa... Jękły dzwony jakimś obcym wyrazem... w brzmieniu ich rozwiało się widzenie... Anioł snu uniósł je na białych skrzydłach...

Zorjentowawszy się gdzie jestem, skoczyłem z łóżka, żeby zdążyć na mszą, i ofiarować Bogu wszystko, co po za sobą zostawiłem... a wszedłszy do kościoła zastałem

turystów moich wszystkich zebranych, i przy różnicy wyznań modlących się jednym ducha nastrojem.

Po mszy, zacni ojcowie wystawili nam śniadanie, a gdy dobry humór i rzeźwość powróciły, któryś z amatorów spostrzegłszy w kącie refektarza stojący fortepian, zasiadł do niego, skoczną wygrywając polkę; hoże pary podały sobie ręce i rzuciły się w wir... Ja jeden stałem na miejscu, przed oczami memi snuły się inne postacie... inne brzmiały tony...

Miss Mary przybliżyła się cicho i swym anielskim szepnęła głosem:

„Croyer..."

Byłożby to słowo wyrazem jéj przedśmiertnéj, a więc proroczéj wiary? Myślałem sobie nieraz późniéj, bo anielska ta istota, wyjechawszy w krótce z Ojcem do Neapolu, rychło tamże żyć miała przestać. Była to dziewica czystych, wzniosłych porywów ducha... dziwnéj rzewności i tęsknoty... że patrząc w jéj oczy z poza łez jakby błyszczące... zdawało się, że ona pożyczaną jest tylko ziemi, by chwilową roskosz sprawić ojcu i tym co ją spotkali w życiu.

Bogata i otoczona zbytkiem, ubierała się z dziwną skromnością, nawet prostotą; zawsze w sukience bronzowéj lub czarnéj, w paletociku również czarnym, podbitym pąsową materyą i takiemiż wyłogami, w kapeluszu ryżowym białym, okrągłym, opadającym na twarz i ramiona, przybranym tylko czarną aksamitką, w rękawiczkach zawsze jasnych, opinających starannie maleńką i wązką rączkę — widzę, jak oparta stoi na ramieniu ojca, który woził ją po całym stałym lądzie Europy, ażeby rozbudzić do życia, jakie od śmierci matki zdawało się z dniem każdym ulatać. Kiedy wyjeżdżała do Neapolu, dała mi na pamiątkę małą książeczkę modlitewną z tytułem: „Crois tu?" napisała wiele myśli w duchu biblijnym, jak n. p. „Tu sera joyeux, parce qu'au lieu d'ètre un enfant de colère destinè à la damnation, tu deviendras, par la foi en Christ, enfant de Dieu, et heritier de la gloire" i list stylu anioła.

Ale wróćmy do towarzystwa i refektarza, w jakim gwarno było i ludno — przez trzy dni pobytu naszego, gościnni Ojcowie hojnie nas podejmując i oprowadzając wszędzie, nic w nagrodę przyjąć nie chcieli, oprócz wpisu imion do księgi pamiątek, jaką to regułę, wszyscy goście odwiedzający podniebny ale zimny ten przybytek, przejść muszą. Znalazłem tam wiersze imion znanych i pamiętnych. Bogaty to klasztor — ma posiadłości znaczne nad brzegami jeziora, a każden z zakonników téj reguły, służy Bogu poświęceniem się dla ludzkości na górze Św. Bernarda, przez ciąg lat 3, z uszczerbkiem zdrowia wynikłym ostrością klimatu. Zresztą dzieje klasztoru tego i jego mieszkańców są tak powszechnie znane, tylokrotnie opowiedziane, że je wyjmujemy z zapisków naszych i zwracamy do osobistych wydarzeń.

Powrót z gór służył nam lepiéj, śnieg nie zawiewał oczów — a przytém droga była już mniéj więcéj znaną.

Stanęliśmy śród najpełniejszéj pogody i upajającego ciepła w Genewie, zaalarmowanéj strasznym wypadkiem, jaki spotkał młodego lorda Dudley-Stuarta, który wdrapując się na szczyt Matterhornu, spadł — i zginął w lawinach wieczystych!... Wychodzącego w góry, spotkaliśmy kilka razy... chciwy wiedzy lord, był pełen otuchy i wiary w szczęśliwą swą gwiazdę?... Ciało jego, mimo wysokiéj ceny, przez ojca, jako okup naznaczonéj, odnalezioném nię było."

Życie Walentego Parczewskiego w Genewie, rozstrzelało się we wszechstronnym kierunku braterskich prac, trosk i nadziei... W tym czasie stracił matkę i został odciętym od rodzeństwa, które zbiegiem okoliczności czysto familijnych, przeniosło się na mieszkanie do Królestwa. Zdrowie jego, sztucznie podtrzymywane, znacznie się zachwiało — uczuł ból w lewym boku, w który był pchnięty bagnetem w lasach litewskich. Kaszel się wzmógł i reumatyzm w całéj dece piersiowéj. W takich to chwilach oddalony od najbliższych znalazł ludzi i opiekę tkliwą, — ku którym powziętą miłość i wdzięczność uniósł do grobu... Wyjechał też bardziéj na południe do Perpignan i tam czas jakiś bawił — powietrze południa zdawało się podniecać życie... zkąd wrócił do Marsylii w celu zaambarkowania się do Aleksandyi, zachęcony przez bogatego Araba, któren tam w rozległych swych osadach, posadę i wschodnią przyjaźń obiecywał.

Inaczéj stało się jednak! Militarny duch jego, a nadewszystko gorąca miłość kraju, z którym na dłużéj i na daléj rozstaćby się musiał — wstrzymały zamiar. Wsiadł więc na statek „Messagerie Imperiale" kursujący na wodach morza Śródziemnego i wypłynął do Genni, w chęci udania się z tamtąd do Turynu i zaciągnienia do legii włoskiéj.

Wstępuję na pokład okrętu i rozglądam się w około czy znajoma twarz nieprzemówi do mnie, gwar przybywających i odchodzących osób, różnorodność języków, stuk ładunku, skrzyp lin, nareszcie świst pary; w taki chaos i rozstrój wprawiło mą duszę, że uciekłszy na dół, skryłem się w najdalszy kąt kajuty, padłem na kanapę i schowałem twarz w dłonie... byłem sam śród życia!... Siedziałem więcéj godziny pogrążony w sobie...

„Witam Pana Majora", zabrzmiał mi głos drogiéj mowy ojczystéj.

Drgnąłem!... przedemną stał człowiek nieznajomy, w białym birecie i białym fartuchu. Wyciągnąłem ku niemu obie dłonie.

„Domyślam się że witam kolegę tułactwa", zagadłem, „lecz z kądże znasz mnie bracie?"

„Z oddziału, Panie Majorze!" rzekł, prostując się i dotykając biretu dwoma palcami, „nazywam się Sadowski, byłem kucharzem w Stawiszynie pod Kaliszem, z tamtąd zaciągnąłem się do oddziału gen. Taczanowskiego, a Pana Majora widziałem w wyprawie Sędziejowieckiéj i niezapomniałem twarzy! bo kiedy człowiek ukocha sprawę i ludzi co w niéj działali, to ich ukocha do śmierci!" Łzy zaszły mu oczy.

Wyszedłszy z kraju, po smutnéj kruszyńskiéj rozsypce, w biedzie i poniewierce, bez grosza w kieszeni i języka w gębie, długo kołotałem się po świecie, aż nareszcie Bóg ulitował się nademną i za staraniem pewnego pana francuzkiego, dostałem tu miejsce kuchmistrza na statku ce-

sarskim. Pensya mi wystarcza, życie zajęte — kraju pięknego widzę do syta — lecz cóż to znaczy wszystko?!... kiedy serce gryzie tęsknota — i człowiek nie ma pewności czy potwory morskie wyźrą mi oczy — lub ziemia ojczysta je pokryje?!...“

Jak mogłem dodawałem biedakowi nadziei... sam nieczując jéj w sobie, bo ogień, jaki palił mu serce, mnie przetrawiał już na wskroś!...

„Ale ja widzę, że Pan Major bardzo zmęczony, możebym mógł czém służyć? filiżanką bulionu lub szodonu, befsztykiem z chrzanem i cebulką? jak Pan Major rozkaże lub jajkiem na miękko puszczonem? może zrazy z kaszką zacieraną podsycone słoninką? wszystko się znajdzie na rozkaz mego polskiego Pana“ to mówiąc, poczciwiec ręce chciał mi całować.

„Dziękuję ci mój bracie! w téj chwili nic od ciebie, oprócz serca nieprzyjmę, trzeba mi chwilkę wypocząć — a skoro będziesz miał czas, wróć tu do mnie.

„Najchętniéj! jeśli Pan Major pozwoli, a tymczasem przygotuję bulionu i antrykotte wołowy najdelikatniejszego gatunku... morze jest dość wzburzone, trzeba mieć żołądek ubezpieczony.“

„To mówiąc, poczciwy kucharz ze Stawiszyna pod Kaliszem, zawinął się około kuchni na „Messagerie Imperiale“, a ja sięgnąwszy po jakieś pismo przedemną na stole leżące, niby czytając zakryłem sobie twarz, chcąc uniknąć różnorodnych kombinacyi towarzyszy podróży, którzy ciekawą na nas zwrócili uwagę, domyślając się tułaczego stosunku i jednéj ofiary za ojczyznę, która tak równym i sprawiedliwym sądem, równą miłością, wszystkich synów bez różnicy wyznań i stanów pod swe powołuje chorągwie...

(C. d. n.)

Rozdział z tomu piątego

HISTORYI POWSTANIA NARODU POLSKIEGO 1861—1864

przez

Agatona Gillera.

Wypadki Lutowe.

(Ciąg dalszy.)

Narady w szczuplejszém kole, chociaż przy ogólném wzburzeniu umysłów, nie mogły doprowadzić do pewnego i stałego wytknięcia drogi dalszego postępowania, jednakże zarysowały odrazu nowy kierunek, jaki być musiał następstwem wprowadzenia do przewodnictwa ludzi nowych, z świeżemi siłami. Przy więcéj niż wątpliwym politycznym skutku zaszłych wypadków, ważną zasługą myśli, która się w delegacyi wyraziła, było zrozumienie, iż z krwi przelanéj dadzą się wyciągnąć wielkie społeczne korzyści i że wzmocnienie narodu nowém obywatelstwem i pogodzenie z nim żywiołu dotąd obcego i szkodliwego stało się możliwem. Bez téj myśli i inicyatywy danéj w resursie, wypadki 27 Lutego, przez nikogo niekierowane, były dziełem przypadkowém, pięknym, poetycznym epizodem w dziejach, zakończonym ową niepomyślną negocyacyą Zamojskiego z Gorczakowem, bez rzeczywistego pożytku. Mieszczanie uratowali je i uczynili źródłem ruchu.

Gdy już zgodzono się wysłać Deputacyę do namiestnika dla wynurzenia skargi, zapytania o powody napaści, przedstawienia oburzenia, jakiem byli przejęci mieszkańcy i dla zażądania zadosyć uczynienia dla miasta i kraju, stanęła kwestya, kiedy ją wysłać należy? Godzina była już późna, dziesiąta wieczorem, wątpliwem więc było, czy ją przyjmie Gorczaków. Jeden z obecnych zrobił uwagę, że należy korzystać z świeżego wrażenia. W politycznych wstrząśnieniach odwłoka kilkunastu godzin wiele znaczy i odmienić może zupełnie położenie — jeżeli zaś deputacyi Gorczaków dzisiaj nie przyjmie, to zostanie jéj zawsze możność udania się nazajutrz do zamku. Stanęło więc na tém, żeby nie tracić czasu i jechać zaraz, niezmieniając nawet ubrania. Wybrani z grona Delegaci deputowani: Szlenker, Hiszpański, Piotrowski, Rosen, Dr. Chałubiński, Kenig, Bayer i ks Stecki, w liczbie ośmiu, w codziennych paletotach siedli do dwóch dorożek i pojechali do zamku. Zgromadzenie w resursie i pozostali koledzy, niespodziewali się ich więcéj zobaczyć, przypuszczali że Gorczaków każe ich zaaresztować, potém wywieść na wygnanie, a w najlepszym razie, każe ich wyrzucić za bramy. Deputowani podzielali obawy pozostałych, lecz nieważając na los jaki ich spotkać może, postanowili poświęcić się dla dobra publicznego, a przybywając po sprawiedliwość, stanęli przed zamkiem, zatrzymani przez czaty kozackie. Wkrótce wyszedł do nich oficer dyżurny, pułkownik Fencz (Fenchawe) i zapytał po francusku: kto są i po co przybyli? Posłowie oświadczyli, iż są deputacyą od obywateli miasta i chcą się widzieć z cesarskim namiestnikiem. Fencz przez chwilę wahał się, niewiedząc jak ma z przybyłymi postąpić, w końcu poszedł do pokoi i zameldował księciu przybycie Deputacyi. Książę kazał ją przyjąć i Deputowanych wprowadzić do przybocznego pokoju.

W pokoju wspomnianym paliły się słabem światłem dwie lampy i cień ponury rzuciły na starego, wychodzącego ze swego gabinetu namiestnika. Fizyognomia jego była niespokojna, strwożona, nogi pod nim drżały, tak, że się oprzeć musiał o poręcz krzesła.

„Co Was tak późno, panowie, sprowadza?“ rzekł po francusku do Deputowanych, głosem mocno poruszonym. Szlenker, który przewodniczył Deputacyi, odrzekł mu w tymże języku:

„Książę! z skrwawionem i boleścią przepełnionem sercem stawa deputacya obywateli miasta przed Waszą Książęcą Mością, by jéj wyrazić zgrozę i boleść nad wypadkami

dnia dzisiejszego. Krew płynęła niewinnych i spokojnych obywateli; religia obrażona w znieważeniu krzyża świetego i zelżeniu kapłanów. Lud zraniony w najświętszych swych prawach, niema wiary w rząd, bo widzi się zdradzonym, ma bowiem to przekonanie, że rozkazy Waszéj książęcéj mości w wypadkach poniedziałkowych i dzisiejszych przekroczone zostały. W takich okolicznościach, jesteśmy upoważnieni żądać od W. książęcéj mości natychmiastowego śledztwa na winnych i ukarania wedle prawa generała Zabołoskiego, który wydał rozkaz strzelania do bezbronnego ludu bez uprzedzenia go o tém."

Gorczaków spokojnie wysłuchał téj przemowy i rzekł: „Prawda, panowie, że nieszczęście się dziś stało, nieszczęście z nieba nam spadło. Przekroczone zostały moje rozkazy. Ubolewam nad nieszczęsnym rezultatem. Zarządzę śledztwo i wykryję kto jest winnym. Ale też przyznajcie panowie, że rząd nie mógł dłużéj patrzeć na niespokojności w mieście trwające. Oto onegdaj ta procesya na Starem mieście z chorągwią czerwoną — co to miało znaczyć?"

„Tak Mości książę", mówił daléj Szlenker, „mamy Boga w niebie, który nas sądzić będzie, lecz wszystkie ludy ucywilizowane ze smutkiem patrzą na nieszczęśliwy naród, którego rząd strzelać każe do bezbronnych na otwartych ulicach. Waszéj Książęcéj Mości złe dają rady. Prezydent miasta powinien znać usposobienie mieszkańców i odradzać użycie tak gwałtownych środków, które tyle nieszczęść i ofiar sprowadziły. Nie sądź W. Książęcia Mość, że policya, żandarmy i bagnety dzisiaj lud zastraszą. Lud przedewszystkiem wiarę w rząd mieć powinien — dziś kiedy lud we krwi niewinnéj zmaczał białe chustki jako symbol niewinności i zemsty, z radością męczeńską nastawia swe obnażone piersi na kule i bagnety, widząc kapłanów swych w czasie obchodu świętego bitych knutem, a krzyż symbol jego wiary porąbany i znieważony. Wasza książęca mość pozwoli sobie powiedzieć, że zaniepokojone i do rozpaczy przywiedzione miasto, żąda zadosyćuczynienia za wyrządzoną mu krzywdę."

„Powiedziałem Wam przecież, że każę śledztwo zarządzić, każę", przerwał książe.

„Śledztwo i sąd", odparł Szlenker, „na tego co przewinił przekraczając rozkazy W. Książęcéj Mości, nie wróci życia zabitym, nie wróci zdrowia ranionym i nie uspokoi słusznie wzburzonego miasta, które w rozpaczy i granicę umiarkowania przejśćby mogło."

„Cóż tedy panowie żądacie?" przerwał znowu zatrwożony książe.

„Żądamy pogrzebu uroczystego zabitych!"

(C. d. n.)

Szarada.

Jest ptak co śpiewa drugie drugie czwarte drugie,
A są co trzecie trzecie trzecie ciągną długie,
Gdzie spław tam masz pierwszego czwartego trzeciego,
Wszystkie ze szkła rozlicznego.

(Rozwiązanie szarady w Nr. 43: *Nieporozumienie.*)

Korespondencye Redakcyi.

Panu Dr. S. w Berlinie: Wyszlemy. — Panu I. C. pod Bydgoszczą: Na nic nam się nie przyda. — Panu Pok.... w M.: Non possumus. Manuskrypt jest do odebrania w Redakcyi. — Panu I. S. w Krakowie: Z wydawnictwem książek ludowych sprawę załatwiliśmy — listownie o tém Panu doniesiemy.

Nakład i Redakcya księgarni M. Leitgebra i Sp. — (M. Leitgeber i St. Tułodziecki w Poznaniu.) — Czcionkami W. Deckera i Sp. (E. Röstel).